

Promień wybawienia

Słońce chyliło się ku zachodowi, powoli zlewając się w jedną linię horyzontu z falami Bałtyku. Żłociste promienie tańczyły walca po świeżo umyтым pokładzie, czego dokonały moje opalone ramiona. Bryza zmierzwiła mi włosy, a ja wdychałem zapach jodu mieszający się z solą morską. Niebo przybrało barwy oranżu, mieszając się z purpurą, a ja pozwoliłem sobie na chwilę wytchnienia po ciężkim dniu pracy. Jak co dzień, oparłem się o burtę i wpatrywałem w bezkres morza, rozmyślając o planach na przyszłość. Zastanawiałem się, co w tej chwili robi moja rodzina. Powinienem napisać do niej list.

Nagle dobiegł mnie słodki głos, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem. Smakował jak lejący się miód, brzmiał jak dźwięczny kryształ, a wyglądał jak ... do kogo należał ten głos? Rozejrzałem się wokoło, lecz nie spostrzegłem niczego nowego, nic mnie nie zaskoczyło – tylko granatowa toń wody, linia horyzontu, zielone lasy iglaste, piaszczyste wydmy. Piękny widok, ale codzienny... skąd mógł dochodzić ten głos? Odniosłem wrażenie, że wydobywał się gdzieś spod wody, z nieznanych głębin Bałtyku, tam gdzie ludzkie oczy zajrzeć nie mogą. Spojrzałem raz jeszcze tam, gdzie malachit miesza się z turkusem, gdzie gładka toń została wzburzona przez srebrzyste łuski rybiego ogona i poczułem rześkie krople na mojej piegowej twarzy. Musiała być to niezła sztuka, gdyż zrobiła dużą falę. Zmarszczyłem brwi ze złości – tak niezwykle okazał mi się koło nosa, bo zachciało mi się fantazjować. Chyba trochę tęsknię za tą moją Anią, bo słyszę jakieś kobiece głosy. Praca na statku wycieńcza. – *Michał, kolacja!* – krzyknął kapitan, który wyrwał mnie z letargu, a ja ruszyłem do szalupy.

Gdy nastał wieczór, życie na statku powoli zamierało, równomierne uderzenia fal ustępowały na przemian szumowi, kołysząc całą załogę do snu, aż wszystko ucichło. Można było usłyszeć tylko z oddali rozmowy białych mew i jednostajne odgłosy chrapania pana kapitana. Lecz ja wciąż nie przywykłem do spoczynku o tak wczesnej porze. Zabrałem się więc do napisania listu.

Bałtyk, 64 dzień wyprawy

Droga Rodzino!

Za dwa tygodnie dobijając będziemy do portu w Łebie. Stamtąd wyślę ten list i pieniądze na leki dla taty. Jak on się czuje? Mam nadzieję, że o wiele lepiej niż ostatnio. Czy lekarze dają jemu jeszcze jakieś szanse?

Pewnie zastanawiacie się, co u mnie słychać. Uprzedzę wasze pytanie – wszystko w porządku. Mamy ostatnio świetne warunki do połowu, a co za tym idzie, otrzymujemy należytą zapłatę. Jak już wcześniej wspominałem wyślę pieniądze najprędzej jak się da. Pracuję ciężko za dwóch, ale sprawia mi to przyjemność. Najważniejsze, że wam się dobrze wiedzie. Mógłbym spędzić tu wieki, tylko by tata wyzdrowiał. Zawsze kochał morze. Powiedźcie mu, że kapitan uważa mnie za osobę odpowiedzialną i daje mi coraz trudniejsze zadania. Cieszę się, że zapracowałem sobie na jego zaufanie.

Już nie mogę się doczekać powrotu, ciągle planuję w głowie, co też będę robił. Mam Wam tyle do opowiedzenia, ale o szczegółach dowiecie się osobiście. Byłbym zapomniiał, powiedźcie małemu, że coś dla niego mam. Pozdrówcie Anię, dla niej będzie osobny list.

Kocham i tęsknię

Michał

PS. Czasami dzieją się tu dziwne rzeczy...

Sen zaczął mnie nużyć, moje ciało wydało się ciężkie i bezwładne. Fale ukołysały mnie do snu jak moich poprzedników, zwinąłem się w wygodną pozycję i udałem się w stan błogiej nieświadomości, by dryfować wśród skrytych marzeń w mojej głowie.

Usłyszałem głos. Wołanie. Ktoś mnie wołał. Ktoś wołał moje imię. Czy to Ania? Jestem już w domu? Nie, to nie ona. Mój dom jest na morzu, nie na lądzie. Umysł stanowczo się upierał, by zostać w ciepłym łóżku i przekręcić się na drugi bok, lecz nogi kurczowo jemu zaprzeczyły i powędrowały tam, gdzie chciały, czyli za Głosem. Na zewnątrz dotknął mnie przeraźliwy chłód, jednak moje stopy stawiały kolejne kroki. Rozum kazał puknąć się w czoło i zawrócić, ale wtedy On znów się odezwał. *-Michale, podejdź bliżej* – usłyszałem. *-Czekam na Ciebie* – Głos kusił.

Szedłem więc dalej, a ów przewodnik doprowadził mnie do dzioba statku. Była sierpniowa noc, niebo pokryło się milionem świetlistych punkcików, które odbijały się w gładkiej tafli. Księżyc okrył swym blaskiem świat, a ja miałem wrażenie, że natura szykuje niebywały koncert. Zaparło mi dech w piersi, gdy z kształtnych, koralowych ust wydobyła się pierwsza nuta cudownie słodkiej melodii. Pieśń otuliła moje ramiona i już wcale nie czułem zimna. Długie, bursztynowe włosy spływały luźno wzdłuż ciała, okalając mleczną twarz nieznajomej. Jednak największą uwagę przykuwały fiołkowe oczy, które spojrzały na mnie przez ułamek sekundy. Pomyślałem, że chciałbym mieć ten Głos na zawsze, więc spytałem: *-Jak ci na imię?* Ona odpowiedziała:

-Podejdź bliżej, a się przekonasz. Zabierz mnie stąd, Michale. Jakiś impuls w mojej głowie kazał mi po raz kolejny zawrócić, jednak pulsujący mięsień, umiejscowiony po lewej stronie, wyrwał się z siatek klatki piersiowej wprost do morza. Zacząłem dygotać, a nieznajoma zaniósła się perlistym śmiechem i poprosiła, bym przypląnął bliżej. Odmówiłem, gdyż wzdłuż skały na której siedziała, kłębiły się wiry wodne. Nakazała mi natychmiast przypląnać bliżej. Słodki głos przemienił się w ostry jak brzytwa łód. Księżyc nagle schował się za chmury, a gwiazdy jakby mniej migotały. Przetarłem oczy z niedowierzaniem, przede mną siedziała kobieta z rybim ogonem. Pomyślałem, że to tylko mi się śni, jednak ona sprawiła, że coś ciągnęło mnie w stronę wirów. Zacząłem krzyczeć tak głośno, że zbudziłem mewy, które teraz krążyły nad moją głową niczym sępy spragnione pożywienia. Myślałem, że zginę, że już nigdy nie przyjadę do domu, że nie pomogę ojcu, że rodzina nie będzie miała pieniędzy, że mały nie otrzyma upominku, że nie zobaczę Ani.

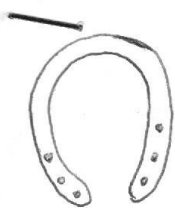
Nie zobaczę Ani! – krzyczało moje ciało.

Nagle dobiegł mnie głośny syk nieznajomej, która okazała się moją zgubą. Wskoczyła w granatową głębię, migając srebrzystymi łuskami, gdy dotknęła ją wiązka żółtego światła latarki. *-Łap, synu!* – usłyszałem krzyk kapitana, który rzucił mi koło ratunkowe. Wchodząc na pokład, dalej nie rozumiałem, co przed chwilą się wydarzyło. Kapitan podał mi koc i wskazał latarnię Stilo w oddali. *-Słuchaj, synu* – powiedział kapitan. *-Ta latarnia, którą widzisz przed sobą, została wybudowana przez mojego pradziadka dla zbłąkanych na morzu i kuszonych młodzieńców. Nieznajoma, która próbowała cię nabrać na swoje sztuczki to syrena, córka Neptuna. Miała nadzieję, że zwiedzie cię swoim śpiewem, wystawiając twoją wierność Annie na próbę. Zdobywając twoje zaufanie, mogła wejść w posiadanie twego ciała, by ostatecznie przybrać postać ludzką. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, bowiem Bałtyk skrywa tajemnice, o jakich ci się nigdy w życiu nie śniło.*

Teraz pozwól, bym mógł dokończyć spoczynku, a jutro rano zabierz się do napisania listu do Anny, obiecujesz?

Odpowiedziałem twierdząco i ruszyłem w kierunku szalup, by zapanować nad sztormem myśli, który kłębił się w mojej głowie.

Syrenka



10-12

I MIEJSCE

10 ZUZANNA MUČKA

Legenda o skarabeuszu i szklanej rybce

Historia ta wydarzyła się w bardzo zamierzchłych czasach, kiedy ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce. Poszukiwali żywności, urodzajnych ziem – aby je uprawiać, lasów, w których znajdą pożywienie i schronienie. Podróżowali konno lub pieszo całymi rodzinami, wspierając się wzajemnie i zakładając osady – czasem tylko na lato albo na zimę, a czasem na kilka lat.

Ludzie od zawsze dzielili się na słabszych i mocniejszych, na bogatszych i biedniejszych, na mądrych i... trochę mniej mądrych..

Możemy się tylko domyślać, dlaczego wódz plemienia Kisewian i Łebian postanowił osiedlić się właśnie tu. Może zachwyciły go lasy pełne wiekowych drzew, zwierzyny i owoców? A może malownicza dolina rzeki Łeby i jej siostry Kisewskiej Strugi?

Wioskę posadowiono przy niewielkim, ale górującym nad terenem wzgórzu, поближе lasu i połyskująca w dole rzeka wydawały się miejscem idealnym do szczęśliwego życia na kilka dobrych lat.

Wódz był człowiekiem mądrym i sprawiedliwym, ludzie go bardzo szanowali. Miał piękną żonę i małego bystrego synka, który miał zostać jego następcą. Często wyruszał ze swymi poddanymi w długie, dalekie wyprawy, obserwował jak urządzone są inne kraje, aby móc się czegoś od nich nauczyć.

Z jednej z takich podróży do dalekiego kraju położonego na olbrzymiej pustyni, nad wielką rzeką przywiózł niespotykane i niewidziane dotąd w tych stronach skarby. Były to prezenty dla jego rodziny. Dla synka niebieski amulet w kształcie małego skarabeusza, a dla żony perfum w szklanej butelce w kształcie rybki. Mieszkańcy osady nigdy nie widzieli takich przedmiotów i czuli przed nimi strach, jak przed każdą nowością. Było dla nich niepojęte, że ludzką ręką można coś takiego wykonać. Uważali, że muszą za tym stać jakieś nieczyste moce.

Szykując się na jedną z kolejnych długich wypraw, wódz postanowił powierzyć opiekę nad swoją rodziną oraz osadą zaufanemu doradcy – szamanowi.

Podczas jego nieobecności czarownik postanowił przejąć władzę – od dawna był zazdrosny o piękną żonę, rodzinę, miłość poddanych, a ponad wszystko pragnął rządzić.

Przekonywał ludzi, że wszelkie plagi i niepowodzenia są spowodowane zaczarowanymi przedmiotami obcego pochodzenia – tajemniczym żuczkiem – skarabeuszem i tymi pachnidłami w szklanej rybie, które na pewno rzuciły klątwę na wioskę, ludzi i także są przyczyną wszystkich kłopotów oraz chorób...

Podstępnie uknuł zdradziecki spisek i pod osłoną nocy zamordował żonę wodza i jego syna, młodego następcę.

Spiskowcy pochowali kobietę i chłopca w dwóch krańcach osady, daleko od siebie, z przedmiotami, które przyniosły im zgubę. Do grobu chłopca wrzucono skarabeusza a matka została pochowana ze szklaną buteleczką w kształcie ryby. Czarownik podczas pełni księżyca wykrzyczał w niebo klątwę - "Oby wasze dusze w życiu pozagrobowym nigdy się nie połączyły – tylko jedna rzecz może znieść klątwę – kiedy skarabeusz opiekun w zaświatach połączy się ze szklaną rybą!

Czyli NIGDY!"

i zaśmiał się złowieszczo. Prości ludzie nie wiedzieli co to oznacza. Byli przerażeni, bali się czarnoksiężnika, a on mógł wreszcie przejąć władzę w osadzie.

Kiedy wódz wrócił z wyprawy, przegonił szamana z wioski i próbował dowiedzieć się, gdzie zostali pochowani jego bliscy. Nikt jednak nie potrafił mu pomóc... Nigdy nie pogodził się z tym, że w tak okrutny sposób zginęli i że zdradził go najlepszy przyjaciel.

W każdą noc przychodził na cmentarzysko i prosił duchy drzew, kamieni, wody, i gwiazd, aby pomogły mu połączyć się z kochanymi osobami po śmierci. Nie wiedział, jaką klątwę rzucił szaman i jak ją zdjąć. Pewnej nocy kiedy przyszedł, zawołał w niebo:

„Będę Was szukał, będę czekał za życia i po śmierci, choćby ponad tysiąc lat!"

i zrozpaczony popełnił samobójstwo.

I tak też się stało – jego udręczonej duszy przyszło czekać ponad tysiąc lat!

Bardzo ciekawe czy ludzie z innej już zupełnie epoki domyślają się jak i dlaczego szklana buteleczka, i fajansowy skarabeusz znalazły się w tych miejscach? I czy będą mieli świadomość, że w momencie kiedy mały skarabeusz w muzealnej gablocie spoczął przy szklanej rybce - klątwa została pokonana i blakające się dusze nareszcie mogły się połączyć...

O...
dla...
z...

O...
...

Tajemnica Niebędzyńskiej Góry

W maleńkiej osadzie u podnóża wysokiej góry mieszkał sobie spokojny chłopski lud. Ciężko im się żyło. Nieurodzajna ziemia dawała słabe plony, nierówny teren utrudniał uprawę roli, liczne bagna, podtopione pola. Ludzie często głodowali. Mieszkał tu chłop Lębor ze swoją rodziną. Dobry był to człowiek, pomagał wszystkim, dzielił się plonami. Zawsze darował ubogiej rodzinie worek pszenicy, by uratować ich przed głodem. Lębor sam ciężko pracował, ale nigdy nie odsyłał nikogo w potrzebie.

Wieś, choć z pozoru spokojna, skrywała w sobie tajemnicę. Nie było tygodnia, by komuś z kurnika nie zginęły jajka. Ktoś zabierał zapasy zboża ze stodoły. Ginęły gęsi z podwórka. Nie wiadomo jak, przepadały świnki z chlewika. Jakby tych kradzieży było mało, to jeszcze ktoś wyczyniał złośliwe żarty. Krowy zamieniały się oborami, znikało suszące się pranie a woda w studni przybierała niebieską barwę. Od czasu do czasu mieszkańcy widzieli tych psotników. Małe krasnoludki na króciutkich nóżkach szybko uciekały przed ludźmi, a każda próba ich schwytania nie udawała się. Złodziejaszki zawsze ginęły u podnóża wysokiej góry za osadą, a wraz z nimi przepadały plony, hodowane zwierzęta, różne rzeczy mieszkańców wioski.

Pewnego lata ciągle padały deszcze, wiały silne wiatry. Zebranych plonów ledwo wystarczało. W rodzinie Redziaków nie było już zboża, ojciec poszedł po pomoc do Lębora. Gdy ten, otworzył swoją stodołę, zobaczył puste miejsce po workach pszenicy i nie wytrzymał. Gonił uciekające krasnoludki do podnóża góry, ale jak każdy mieszkaniec wioski i on ich nie zdołał złapać. Zły zacisnął dłoń w pięść i wymachując nią krzyczał:

- NIE BĘDZIE nikt w mojej wiosce zboża kradł!
- NIE BĘDZIE już nikt świnek uprowadzał!
- NIE BĘDZIE już nikt wody w studni malował!
- NIE BĘDZIE już nikt psotów i żartów czynił !
- NIE BĘDZIE już was tu krasnoludki z nami !
- I nawet tej góry już tu NIE BĘDZIE !

Krzyki zbudziły śpiącego Światowida. A wielki to był pan, miał dużą moc. Potrafił słońce zaświecić i gwiazdy zapalić. Władał wiatrem i deszczem. Najpierw chciał ukarać Lębora za te wrzaski u podnóża góry, ale gdy przysłuchał się dokładniej, pomyślał:

- Pomogę mu, ja też mam już dość tych psotnych krasnoludków.

No i zaczęło się. Wiatr zawył, ziemia zadrgała. Góra zadygotała. Olbrzymie głazy zaczęły spadać po zboczach, kamienie toczyły się z hukiem w dół. Okoliczna ziemia z pagórków i dolin stała się urodzajną równiną. Lębor stał z otwartymi ustami, uniesioną pięścią, zdziwiony swoją ogromną mocą. Z wysokiej góry pozostał stumetrowy pagórek. Kamienie i ziemia dokładnie przykryły jego zbocza. Wrota do krainy krasnoludków zostały bezpowrotnie zasypane, a skrzaty uwięzione na wieki.

Od tamtych wydarzeń minęło wiele, wiele lat. Ludzie na cześć dobrego chłopca Lębora-wybawcy osadę zaczęli nazywać Lęborkiem. Ziemia wokół wioski stała się urodzajną równiną. Ludzie już nie głodowali, a pagórek z zasypanymi skrzatami, na pamiątkę krzyków Lębora nazwano Niebędzyńską Górą, która po dziś dzień góruje na styku wsi Redkowice, Pogorszewo, Janowiczki.

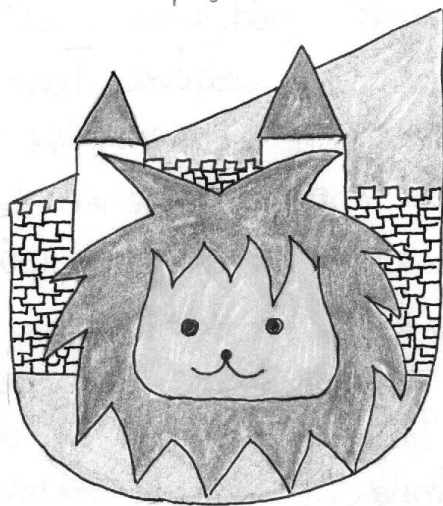
Tylko, od czasu do czasu jakiś śmiałek z łopatą udaje się w okolice Niebędzyńskiej Góry i kopie, i kopie, kopie w poszukiwaniu krasnoludków i ich ogromnych skarbów. Czy warto ich szukać? Może lepiej, gdy ich z nami NIE BĘDZIE.

Dawno temu za lasami, na wysokiej górze stał zamek, który otaczał mur (zbudowany z grubych drewnianych pni) chroniący mieszkańców osady przed najeźdźcami. Osada władał kasztelan, który wraz ze swoim wojskiem bronił mieszkańców.

Pewnego razu przyjezdni kupcy przynieśli wiadomość, że zbójnicy napadli na Ziemię Świętą, a wojsko powinno ruszyć na jej obronę. Kasztelan wyruszył więc ze swoimi wojskami w daleką wyprawę, pozostawiając w osadzie niewielką część wojsk do obrony. Czas leciał szybko, a kasztelan z wojskiem nie wracał. Po pewnym czasie gromada rozbójników napadła na osadę. Wojsko dzielnie walczyło, broniąc osady. Jednak przeciwnicy byli silniejsi. Po trudnej i długiej walce rozbójnicy zdobyli osadę. W walce o ziemię zginęło wielu mieszkańców. Rozbójnicy spalili drewnianą osadę. Niektórym mieszkańcom udało się uciec, wszyscy więc na poszukiwanie nowego miejsca, gdyż po ich osadzie nie było już śladu. Tutajac się wśród lasów i łąk, dotarli do pięknego miejsca położonego przy wzgórzu. Teren otoczony był szeroką rzeką, a wokół niej rozciągały się zielone łąki. Mieszkańcy postanowili tam pozostać. Zaczeli więc budować zamek nie drewniany, lecz kamienny. Mur otaczający gród zbudowany został z dużych, jasnych kamieni. Gdy kasztelan wrócił z wyprawy jego oczom ukazała się pustka. Miejsce, ~~które~~ wcześniej pełne życia i wesołości ludzi, zniknęło. Kasztelan ruszył się dookoła. Z jego grodu nie zostało nic. Postanowił odszukać mieszkańców i pomóc im odbudować gród. Wyruszył więc z wojskiem na poszukiwania. Po kilkudniowej podróży dotarł na miejsce. Jednak gród był już prawie gotowy. Wszyscy ucieszyli się na widok kasztelana, a on sam chodził

po wybudowanych murach w towarzystwie zwierzątka, które przyniosł ze sobą z podróży. Zwierzę zawsze chodziło z kasztelonem. Bardzo chętnie przebywało wśród ludzi, nie odurzając lekami przed nimi. Mijał czas, a zwierzę wyrosło na pięknego lwa, który żył swobodnie wśród ludzi. Życie w grodzie toczyło się w zgodzie i szczęściu. Jednak na odległej wyspie hłbin mieszkało plemię, które pragnęło zdobyć "Biały gród" - nazwany tak z powodu jasnych murów obronnych. Plemię długo pokonywało gęste lasy i puszcze, aż dotarło na miejsce. Pewnej nocy podszli cicho pod mury "Białego grodu" i zaatakowali z samego wnętrza mieszkańców. Przy użyciu łuków. Jedną ze strzał trafiła w lwa. Lew, który nie znał bólu zaryczał, tak głośno i strasznie, że wszyscy zamarli ze strachu. Przerażone plemię w pośpiechu uciekło myśląc, że to potwór. Rozpowiadali wszędzie, że "Białego grodu" już nikt, nigdy nie zdobędzie.

Mijały długie lata jednak nikt nie odważył się podnieść ręki na Levinga bo tak nazwał kochanego lwa, nazwano ten gród. Pomimo upływu lat do dziś w herbie Leborka możemy ujrzeć białego zamka, rzekę oraz lwa.



10-12
III MIEJSCE

DOROTA SUSZKO

Legenda o pięknej Jadwidze i fontannie z żabkami

W 2001 roku, czyli na początku XXI wieku, kobieta o imieniu Jadwiga wybrała się na Plac Pokoju w Lęborku. Bardzo chciała zobaczyć fontannę z żabkami, więc udała się w jej kierunku. Ujrzała okalający spienioną wodę murek, na którym siedziało osiem stalowych żabek, które pluły przed siebie strumieniami wody, dzięki czemu powstała niespotykana fontanna.

Kobieta, zauroczona widokiem fontanny, zapragnęła bardziej się jej przyjrzeć. Okrążyła ją kilka razy, wyteżyła i wyostrzyła wzrok na każdy szczegół, przyjrzała się dobrze żabkom, zobaczyła jak płynie woda z dzióbków tych płazów, aż w końcu się trochę zmęczyła. Chciała poczuć, jak to jest dotknąć ten piękny zabytek, więc dotknęła dłonią jedną z żabek.

Ku jej zdziwieniu coś się zmieniło, lecz nie wiedziała co. Po chwili zorientowała się, że jest w zupełnie innym miejscu. Znalazła się przed ratuszem. Zastanawiała się jak tu trafiła. Zdawało jej się, że przed chwilą była przecież przy fontannie z żabkami. Może to tylko jej sen?

Tuż obok przechodził pewien stary człowiek. Nie wyglądał na biednego. Ubrany był w elegancki płaszcz, srebrzysty garnitur z muchą, gustowne legginsy i zwykłe brązowe buty.

- Przepraszam pana – zaczęła grzecznie Jadwiga. - Czy wie pan może coś o tej fontannie z żabkami na Placu Pokoju? Przed chwilą byłam przy niej i nagle... Znalazłam się tutaj, przed ratuszem. To jakaś magia? Pan jest starszy, pan powinien się na tym znać... - jękała.
- Czy pani się dobrze czuje?! - zapytał sarkastycznie. - Magia nie istnieje!
- Nie?... - wyjąkała z przerażeniem Jadwiga.
- Więc już idę! - i człowiek naprawdę sobie poszedł nie zwracając uwagi na przerażenie Jadwigi.

Kobieta leniwie, kierowana przeczuciem, poszła w stronę fontanny z żabkami. Dojście tam zajęło jej dziesięć minut. Gdy była na miejscu, dotknęła dłonią drugą z żabek. Chciała odkryć całą tajemnicę tego, w jaki sposób znalazła się przed ratuszem.

Po kilku sekundach, Jadwiga znalazła się w sercu ulicy Staromiejskiej. Fontanna nie była aż tak daleko od Jadwigi, lecz już jej nie widziała.

W końcu kobieta odkryła tajemnicę fontanny z żabkami. Zrozumiała, że magia naprawdę istnieje, bo przecież każda żabka może przeteleportować człowieka, który ją

dotknie, do jakiegoś miejsca w Lęborku. „Przecież magia nie istnieje!” - przypomniała sobie słowa starego człowieka przed Ratuszem. Jednak się mylił.

Postanowiła wrócić do fontanny i dotknąć każdą żabkę, bo jej celem było przeteleportowanie się do swojego domu – dokładnie do swojej mamy Izabeli. Pomaszzerowała godnie do fontanny, dotknęła trzecią z żabek i znalazła się w ogrodzie wujka Alberta. A miała przecież nadzieję, że natrafi na swój dom..., ale jeszcze się nie podda!

Wujek podlewał stokrotki, po minucie zobaczył Jadwigę i powiedział z ogromnym zdziwieniem:

- C - c - co t - t - ty tu robisz?! Jak przeszedłeś przez furtkę?!
- Była otwarta – skłamała. - Zapomniałeś jej zamknąć.
- Zamykałem furtkę – powiedział przekonany Albert i poszedł w kierunku furtki.
- Już ją zamknęłam – rzekła.
- Nie strasz mnie! To dziecinada... - wujek, mówiąc te słowa poszedł do kuchni po świeże drożdżówki.

Jadwiga już myślała nad powrotem do domu . To przecież kilka kilometrów! W sumie, jak kiedyś była z rodzicami u wujka, musieli iść pieszo. Nagle pomyślała, że musi być jakiś sposób, by szybciej dotrzeć do fontanny. Szybko doszła do wniosku, że magia tkwi również w tym, że gdy zapragnie przy niej być - dostanie się tam w parę sekund. I już była na miejscu. Gdy wujek zorientował się, że nie ma Jadwigi, pomyślał, że pewnie wróciła pieszo do domu.

Gdy Jadwiga znów znalazła się przy fontannie, była w pewna, że w jakiś sposób dostanie się do swojego domu. Dotknęła dłonią czwartej z żabek, zamknęła oczy i poczuła, że ktoś ją przytula. Otworzyła oczy, a ku jej zdziwieniu była to jej kochana mama, która dużo cierpiała. Ostatnio przeszła bolesne badania nerek i płuc, a przecież musiała w jakiś sposób opiekować się swoją córeczką.

Jadwiga przytuliła mamę, popłakała się i mama również, potem rozmawiały o swoich przygodach. Mamusia upiekła pyszną szarlotkę. Na koniec zapytała Jadwigę:

- Córeczko, jak to jest dotykać tych żabek?
- Cudownie – odpowiedziała Jadwiga. - Chodź mamó za mną, zaprowadzę cię tam.

Jadwiga zapragnęła w myślach znaleźć się przy fontannie. Po chwili razem z mamą już tam były. Na koniec każda z nich dotykała wybraną żabkę, a tym samym przeniosła się do innego zakątka Lęborka i każda z nich miała z powrotem znaleźć się z powrotem.

Na dowód tego przeżycia, na murze, na którym siedziały żabki, znajduje się tarcza

z różnych miejsc Łęborka. Sprawdźcie sami.

Hermiona

10 lat

HERMIONA

13-15
I Miejsce

ARTUR KAMIENIECKI

Bocianie Gniazdo

- Zobacz, jak ta żaba się na nas gapi. Obrzydliwy, oślizgły płaz!

- Tam jest następna i jeszcze jedna... , na ulicy siedzi kilka, w fontannie kąpią się kolejne. Co to za plaga w tych ohydnych zwierząt!

- Arek, one są jakieś dziwne, jakieś zaczarowane...?

- Co ty Jakub, żab się boisz ! Zwariowałeś! Idę do domu.

Arek poszedł, a ja zostałem sam ze swoimi myślami. No tak, jutro cała szkoła będzie się ze mnie śmiała, że boję się żab i że są zaczarowane. Ale one są naprawdę dziwne. Nie boją się ludzi, siedzą w samym centrum miasta, patrzą takim dziwnym wzrokiem, nie wiem co się dzieje, ale to nie jest normalne.

Po obiedzie mój pies domagał się spaceru. Nie potrafię mu niczego odmówić. Pomaszzerowaliśmy na pobliskie łąki. Toro biegał wśród traw, węszył, poszczekiwał radośnie. Było ciepłe majowe popołudnie. Znowu moje myśli uciekły do zielonego paskudztwa z Placu Pokoju, przecież każdy mieszkaniec Lęborka zna legendę o żabkach. A historia lubi się powtarzać !

Nagle słoneczny dzień zamienił się z nocą. Słońce przestało być Bogiem na widnokręgu, ciszę wypełnił szum ptasich skrzydeł. Nad moją głową zaszumiało. Powietrze drżało jak przy wybuchu. Tumany gęstego pyłu zawirowały w tańcu i setka bocianów zaczęła krążyć nad moją głową. Opadały niżej i niżej. Zaczęły siadać na łące, otaczając mnie kołem. Przerażony pies, cichutko skowycząc, tulił się do moich kolan. Byłem równie złęknioty jak on. Stałem sparaliżowany pośrodku tego dziwnego, ptasiego tańca. Okrąg zamykał się. Wielkie ptaszyska były na wyciągnięcie ręki. Pierwszy raz tak dokładnie widziałem bociany. Pomimo strachu ich sylwetki zachwyciły mnie. Biel piór była nieskazitelna, smukłe szyje imponowały swoją długością. Krwistoczerwone dzioby napawały mnie strachem, przecież one mnie mogą zaatakować! Już unosiłem ramiona do góry, by jakoś odstraszyć ptaszyska, a wtedy jeden bocian wysunął się z kręgu ku przodowi, otworzył dziób i... popłynęły z niego słowa, ludzkie słowa z bocianiego gardła.

Oniemiałem! Stałem z uniesionymi rękami, niejako poddając się woli tych dostojnych ptaków.

- Jakubie, choć o tym nie wiesz, jesteś potomkiem Jakuba i pięknej córki burmistrza z legendy o żabkach. Teraz przyszła twoja kolej, musisz uratować Lębork. Jesteś synem burmistrza, a my bocianami on nie chodzi na łąki, nie możemy do niego dotrzeć, przez ciebie przemawiamy do niego.

-Żaby rozpanoszyły się w Lęborku. Są już wszędzie. Ludzie znajdują je w torbach, szafach, pościeli. Zatrują wodę. Mieszkańcy Lęborka wyginą. Czasu nie zostało zbyt wiele.

Stałem, słuchając każdego słowa bocianiego przywódcy. Widziałem te żaby, czułem że są zaczarowane. Czułem, że grozi nam niebezpieczeństwo, ale jak ja 16-letni chłopak mogę uratować Lębork?

-Posłuchaj Jakubie, jest na to rada, by ocalić nasze miasto. Jeśli ty nam pomożesz, my pomożemy tobie.

-Przed wieloma, wieloma laty w średniowieczu Lębork był otoczony murem obronnym. Na jednej z baszt, zwanej przez ludzi Bocianie Gniazdo przyszedł na świat nasz król. Baszta ta stała do 1700 roku, a potem źli ludzie rozebrali ją. Nasz władca, każdego roku wracał na lęborską ziemię, wracał do rodzinnego gniazda. Dobrze żyło się bocianom pod jego rządami, nie brakowało nam jadła na pobliskich łąkach, prawie w każdej chłopskiej zagrodzie było nasze siedlisko. Po rozebraniu Bocianie Gniazda z murów obronnych nasz nieśmiertelny król nie wrócił już w rodzinne strony. Żyje w Afryce, ale tęskni do Lęborka, jego serce pęka z żalu, gdy bociany odlatują do Polski. Płacze rzewnymi łzami, ale jego gniazda nie ma już od 300 lat, nie ma do czego wracać. Nasz król niknie w oczach. Jeśli on umrze, zginą wszystkie bociany, a żaby przejmą władzę nad światem.

Chłonałem każde słowo, wierzyłem temu staremu bocianowi, nawet przestało dziwić mnie to, że mówi ludzkim głosem. Magia tego zdarzenia pochłonięła mnie. Bocian ciągnął dalej.

- Jakubie - ludzie budują nowe domy, osuszają łąki, ciężkie maszyny rolnicze uprawiają ziemię, a nam zostaje coraz mniej miejsca do życia. Człowiek wypiera bociany z ich pradawnych siedlisk. Żyjemy obok was, ale w tej walce o tereny do zamieszkania przegrywamy, przegrywamy...

Ocknąłem się na łące. Toro lizała mnie po twarzy. Słońce chyliło się ku zachodowi. Gdzie są bociany? A ta historia? Czoło miałem gorące, drżałem z niepokoju, ale myśli miałem jasne. Wiedziałem co muszę uczynić!

Po rozmowie z tatą i akceptacji planu przez radnych, już za miesiąc ruszyła odbudowa murów obronnych, wraz z budową baszty Bocianie Gniazdo. Do zimy wszystko było gotowe. Wczesną wiosną na jej szczycie stanęło prowizoryczne bocianie gniazdo. Każdy rolnik, w którego obejściu gnieździł się bocian, otrzymał dofinansowanie na ochronę siedlisk bocianich. Wiosną po okolicznych łąkach spacerowały te piękne ptaki i było ich coraz więcej. Żaby zniknęły z Placu Pokoju.

Wracałem ze szkoły. Słońce nieśmiało wyglądało zza chmur, ciepłe promyki muskały moje włosy. Wiosna budziła się ze snu. Nad Lęborkiem olbrzymie ptaszysko zatoczyło koło. Blask jego skrzydeł kłuł mnie w oczy, wiedziałem że to on, król powrócił. Złoty pył sypał się z jego piór, a on dostojnie usiadł na swoim gnieździe, wyciągnął smukłą szyję do słońca, przymknął powieki, uniósł kryształowy dziób ku górze i klekotał, klekotał, klekotał...

Bo czymże by była ta Błękitna Kraina bez krzyku mew? Bez klangoru żurawi nad polami rodzącymi się z mgieł? Czymże by była bez czapli siwych z czaplińca w Chocielewku? Jak moglibyśmy patrzeć w niebo, gdy wczesną wiosną ciepłe promienie muskają nasze twarze zwrócone ku niebu w poszukiwaniu przylatujących bocianów?

A on, otoczył skrzydłami basztę Bocianie Gniazdo i wziął w opiekę Błękitną Krainę i klekotał, klekotał, klekotał. ...

Obrońca Kanina

Dawno, dawno temu w środku lasu leżała pewna mała wioska, a nazywała się Kluczowa Góra. Miejsce to było zamieszkiwane przez parę osób. Byli to głównie rolnicy, którzy uprawiali okoliczne pola siłą swych rąk. Pewnego dnia jeden z rolników spotkał w lesie rannego Rosjanina, postanowił mu pomóc i się nim zaopiekować. Mijały dni, podczas których przybysz nabierał sił. Podzielił się on ze swoim wybawcą historią, którą przeżył. Gdy doszedł już do siebie, postanowił spłacić swój dług, choć rolnik tego nie wymagał. Aleksander, bo tak miał na imię przybysz, stracił podczas wojny całą swoją rodzinę, dobytek i sens życia. Wszystko było mu obojętne, do czasu, gdy przed śmiercią uchronił go mieszkaniec Kluczowej Góry.

Aleksander nie potrzebował wiele, prosił jedynie o miejsce do przenocowania w stodole, po czym zamieszkał tam. Codziennie dzielnie pomagał rolnikowi przy pracach polowych oraz ze zwierzętami. Nie brał za to żadnej zapłaty, jedynie miejsce do spania oraz posiłek. Dzieci gospodarza uczył podstaw języka rosyjskiego oraz posługiwania się szablą, bo jak wynikało z jego opowieści był rosyjskim żołnierzem, który uciekł z armii po utracie wszystkiego. Uwielbiał pracować i był do każdego przyjaźnie nastawiony, pomagał również innym rolnikom w ich żmudnych pracach. Z tego powodu wszyscy go akceptowali i nie czuli strachu przed nim. Niegdyś rzadkim widokiem było, gdy rosyjski wojownik pracował z polskim chłopem na roli jak równy z równym.

Mijały tak dni, miesiące i lata. Alek był traktowany jak domownik, chociaż dalej nie zgadzał się na przenosiny ze stodoły. Tam było mu dobrze, ciepło i sucho. W wiosce

położonej poniżej zaczęły dziać się dziwne rzeczy, ciche kradzieże oraz znikanie zwierząt wzbudzały duży niepokój wśród mieszkańców. Chodziły słuchy, że w lesie rozbiło swój obóz 3 rzezimieszków. Ludzie przestraszyli się takiego zagrożenia, bo nikt nie chciałby stracić swojego dobytku. Zwołali radę, aby podjąć decyzję, co z tym zrobić. Nikt nie chciał ryzykować swojego życia, a dobra nadal ginęły. Aleksander, który był na zgromadzeniu, nic nie mówił, lecz wiedział, co należy zrobić. Był w końcu żołnierzem i rozwiązywanie takich rzeczy nie było dla niego problemem. Zaczął przygotowania do walki. Zaczął się w nocy przy lesie, aby wysledzić zbójców oraz ustalić, gdzie znajduje się ich obóz. Udało mu się dojść za nimi do rozbitych namiotów, (faktycznie było ich 3). Wokół miejsca do spania zauważył liczne przedmioty oraz zwierzęta, które ginęły mieszkańcom. Postanowił odebrać co swoje i rzucił się w wir walki. Był bardzo dobrym szermierzem, lecz przestępcy nie dawali za wygraną. Walka nie trwała długo. Mężczyźnie udało się wyeliminować przeciwników, ale sam otrzymał bardzo poważne rany, które okazały się śmiertelne.

Rolnik, który nie zastał rano Alka, bardzo się zdziwił i razem z grupą mieszkańców postanowił go odszukać. Przeszukiwali las oraz nawoływali, aż w końcu doszli do miejsca, gdzie toczyła się walka. Rolnik podbiegł szybko do Alka, a gdy ten już konał, wypowiedział piękne słowa, które na długo zostaną w pamięci gospodarza: „Dziękuję za życie. Spłaciłem swój dług, teraz już jesteście bezpieczni”, po czym nasz dzielny bohater skonał. Wśród ludzi nastąpiło wielkie poruszenie, gdy dowiedzieli się o tym, co Rosjanin dla nich zrobił, że zapłacił najwyższą cenę, jaką było jego życie, aby mogli toczyć dalej swój spokojny żywot. Wyprawiono mu

pogrzeb oraz postawiono wielki nagrobek ozdobiony kamieniami.

Na jego cześć zmieniono nazwę wioski Kluczowa Góra na Kanin, bo tak ów żołnierz miał na nazwisko.

Do dziś w lesie jest wielki nagrobek, który należy właśnie do niego. Ludzie przez wiele lat wspominali i wspominać będą po dziś dzień o bohaterskim żywocie swojego wybawiciela.

Zuzu

WARSZAWA

13-15

12-15 ANNA ZIELIŃSKA

WYRÓŻNIENIE Legenda o Jeziorze Lubowidzkim i Błękitnej Krainie

Dawno temu na skraju Lęborka mieszkał biedny chłopak, który nazywał się Lubowid. Miał on piękną, lecz bardzo nieuczciwą żonę. Nazywała się ona Dobrowoja. Oszukiwała swojego męża, a on zaślepiony miłością do niej, przebaczał jej za każdym razem. Czuł się z tym źle, jednak tłumaczył sobie, że nie może z tym nic zrobić. Bał się samotności.

Bardzo często rano wybierał się na długie spacery poza miasto. Gdy był dzieckiem, matka wyrzuciła go pewnego razu z domu, bo nie chciał pomagać w uprawie roli. Zapłakany długo błdził, aż nagle znalazł pewne tajemnicze jezioro. Od tamtej chwili to było jego ulubione miejsce. Zawsze, gdy czuł się nieszczęśliwy, szedł nad tamto jezioro, żeby pozbierać myśli i się zrelaksować. Wtedy, przez przynajmniej kilka chwil, był wolny i niezależny.

Pewnego razu, gdy wrócił znad swojego miejsca spokoju i skupienia, zobaczył Dobrowoję, która pakuje swoje rzeczy.

- Co robisz? – spytał.

- Wyprowadzam się. Znalazłam sobie lepszego męża, który zapewni mi godne życie – to powiedziawszy z pogardą wyszła. Wtedy Lubowid widział ją ostatni raz.

Zrozpaczony wybiegł z domu i pobiegł nad jezioro. Płakał nad swoim losem i nad życiem. Nie mógł zrozumieć, czemu spotykają go takie niemiłe rzeczy. W końcu zmęczony płaczem, zasnął. Obudził się w nocy. Na dworze było już ciemno. W jeziorze odbijał się blask księżyca. Wokół było pełno chwastów, szuwarów, krzaków i drzew. W ciemnościach wyglądały dość strasznie. Lubowid nigdy przedtem nie był tutaj o tak późnej porze. Akurat w tę noc miała ukazać się pełnia.

Nagle jeziorko zaczęło bulgotać. Woda zrobiła się błękitna. Blask księżyca rozświetlił wszystko wokół. Krzaki i drzewa zmieniły się w piękne zaczarowane kwiaty. To miejsce było w tamtym momencie takie magiczne... Lubowid nie wiedział, co się dzieje. Myślał, że całe to zamieszanie to tylko sen. Jednakże mylił się. Wszystko było najprawdziwszą rzeczywistością. Woda w jeziorze zrobiła się taka piękna... Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, by wszedł do niej. Chłopak jednak nie był przekonany, co do tego pomysłu.

Gdy podziwiał tak to niezwykle i fascynujące zdarzenie, z jeziora wyszła pewna zjawą. Była to najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widział. Miała w sobie tyle gracji i wdzięku. Lubowid od razu się w niej zakochał.

- Witaj, nazywam się Eris. Jestem strażniczką tego miejsca. Zawsze widzę, jak tutaj przychodzisz. Zdążyłam cię już poznać, Lubowidzie.

- To wszystko jest takie niesamowite – powiedział szeptem chłopak. Nadal był w szoku.

Dziewczyna podeszła do niego bliżej. On zrobił krok ku niej i spojrzał w piękne błękitne oczy. Księżyc już powoli chował się za horyzont. Pocałowali się. Lubowid postanowił wrócić razem z Eris. Dziewczyna nie mogła zostać na powierzchni, gdyż bez niej jezioro przestałoby istnieć. Po chwili para, trzymając się za ręce, weszła do wody. Zniknęli w przecudownym błękitnie tonym jeziorze.

Od tamtej pory miejsce to nazywa się Lubowidz – na cześć biednego chłopaka, który razem ze swoją partnerką strzeże podwodnych głębin. Raz w roku, gdy jest pełnia, jezioro zaczyna bulgotać, a para zakochanych wychodzi na powierzchnię w blasku księżyca. Jednakże nikt nie wie, kiedy dokładnie to się wydarza. Lęborkanie chętnie kąpią się w wodach Lubowidza. Po tamtym wydarzeniu, niektórzy nazywają Lębork Błękitną Krainą, gdyż przypomina im barwę jeziora, które raz w roku staje się wyjątkowe i niespotykane.

Tajemnica pałacu w Janowicach

Był rok 1682. Lębork, leżący wówczas na ziemi brandenbursko-pruskiej, został najechany przez Szwedów. Ci, z satysfakcją wpatrywali się w szalejące płomienie, pochłaniające miasto.

— Idziemy, panowie — powiedział dowódca oddziału, Gustavsson.

Noc była wyjątkowo zimna. Mróz szczypał złośliwie policzki najeźdźców, jakby karząc ich za to, co zrobili. Gustavsson odczuwał ogromne zmęczenie. Jedyne, o czym marzył, to znalezienie się w ciepłym pomieszczeniu, z kuflem piwa, cygarem w ręku i bogato zastawionym stołem. Nagle, jakby za pomocą czarodziejskiej różdżki, do ich oczu dotarł widok ogromnej posiadłości. Ucieszeni, z pełnym wigorem, ruszyli do przodu, podśpiewując donośnie ojczystą przyspiewkę:

„Herr Mannelig, Herr Mannelig, weź za żonę mnie

jam przecież taka jest hojna!

Usłyszeć mogę tylko od ciebie tak lub nie

*Czy tego chcesz czy nie... ”**

Im bliżej podchodzili, tym większe wrażenie robiła na nich posiadłość. Wielkie, śnieżnobiałe drzwi znajdowały się na środku ściany frontowej. Po ich obu stronach rozprzestrzeniały się rzędy wielkich, białych okiennic. Budynek emanował harmonią, spokojem i klasą.

Gustavsoon zapukał do drzwi, lecz nikt się nie zjawił, by je otworzyć. Widział w środku zapalone światło. Może właściciele uciekli, gdy usłyszeli chór oddziału? Wzruszając ramionami, nacisnął klamkę. Otwarte. Skinął na trzech najbardziej zaufanych sobie ludzi, by poszli za nim. Przyjemne ciepło uderzyło w niego, gdy przekroczył próg pałacu. Wyciągnął bandolet zza pazuchy. Stąpił ostrożnie do przodu, w obawie przed czyhającymi na niego siłami lęborskimi. Do jego uszu nie dotarł jednak ani jeden podejrzaný dźwięk.

— Zwiali — powiedział po przeszukaniu całego budynku. — Zawołajcie resztę.

Zmęczony, opadł na fotel stojący przy kominku. Z zaciekawieniem rozejrzał się po salonie, który prezentował się niezwykle okazale. Podobnie jak cała siedziba, utrzymany był w stylu klasycystycznym. Szczególne wrażenie wywierał posąg dużego kota. Zwierzę wykonane z niezwykle dokładnością, spoglądało z dumą na szwedzkiego dowódcę, jakby czytało mu w myślach. Gustavsoon potrząsnął głową, odrzucając głupie myśli.

Gdy usłyszał głośnie śmiechy, wstał, po czym ruszył do jadalni, skąd dochodził hałas.

— Co tu się dzieje? — spytał, dostrzegając trzech żołnierzy rzucających porcelaną.

— Generale, spokojnie. To taka nowa zabawa. Polega na tym, że...

— Nie produkuj się, Pål. Nie obchodzi mnie to. Skończcie te swoje głupie gierki, bo hałasujecie.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku reszty rekrutów.

— Zjedzcie, wypijcie i prześpijcie się, z samego rana ruszamy na dalej na południe.

— Tak jest, generale — odpowiedział Gunnar.

Gustavsoon ruszył z powrotem do salonu. Ściągnął kurtkę, wyciągnął cygaro z kieszeni, a następnie zasiadł na tym samym fotelu co wcześniej. Zaciągając się używką, utkwiał wzrok w płomieniach radośnie tańczących w kominku.

— Dzień dobry.

Zdezorientowany, rozejrzał się dookoła, lecz nikogo nie dostrzegł. Zdał sobie jednak sprawę, że rzeźba kota, którą wcześniej bacznie obserwował, zniknęła. Lekko zdenerwowany, wstał. Czyżby pomylił pokój i zwyczajnie mu się przesłyszało? Wybrał tę tezę, aby odepchnąć od siebie dziwne myśli. Gdy chciał wrócić na swoje miejsce, usłyszał śmiech.

— Kto tu jest? — spytał.

Znowu odpowiedział mu śmiech. Niespodziewanie usłyszał wrzask w jadalni. Prędko zerwał się z miejsca i pobiegł w tamtym kierunku. Zamurowało go, kiedy dostrzegł swojego lewitującego żołnierza.

— Co tu się dzieje?

— On tylko zbił tę wazę i nagle coś wyrzuciło go w powietrze — wyjaśnił Åke.

Do jego uszu podobnie dotarł ten sam chichot. Niespodziewanie spodnie szeregowego Pála zsunęły się na dół, wywołując tym samym wybuch śmiechu wśród oddziału. Chwilę później placek dyniowy wylądował na twarzy kaprała x. Wściekły Gustavsoon wyciągnął spluwę, po czym wystrzelił kilka naboju w sufit. Zapadła grobowa cisza.

Bach! Szyby w oknach rozleciały się na miliony małych kawałeczków. Zdezorientowani żołnierze wyciągnęli broń, przyjmując odpowiednie pozycje. Atmosfera w jednej chwili zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Śmiechy, żarty odeszły w zapomnienie — teraz panowała pełna powaga. Åke podszedł ostrożnie do okna w celu rozpoznania sytuacji.

— Nikogo tam nie ma — stwierdził.

— A co, jeżeli to duchy? — spytał nadal lewitujący w powietrzu Gunnar.

— Gunnar, o czym ty mówisz? Nie ma żadnych duchów, ty głupi kretynie — uciął Gustavsoon.

Jakby w odpowiedzi, generał został rzucony niewidzialną siłą w ścianę. Reszta nie zdążyła zareagować, gdyż sekundę później nastąpiła seria niespodziewanych zdarzeń: Åke dostał żelazkiem w nos, Pål wyleciał przez okno, na kilku innych spadł wielki regał z książkami, a Gunnar zaczął kręcić się, nadal wisząc w powietrzu. Wybuchła panika.

— Zbierać swoje rzeczy! Odwrót! Odwrót! — krzyknął Gustavsoon.

Nie trzeba było im dwa razy powtarzać. Z prędkością światła opuścili pałac.

— Wracajcie do siebie, bo jeżeli usłyszę, że zniszczyliście więcej naszych ziem, to spuszczę wam takie manto, że własne matki was nie poznają! — zawołał za nimi domownik, duch opiekunicy domu.

Roześmiał się głośno, zamykając drzwi. Wszystko w jadalni wróciło na swoje stare miejsce. Kiedy przekroczył próg salonu, spojrzał na obraz przedstawiający rodzinę von Jannewitz.

— A wy na mnie narzekaliście — powiedział, śmiejąc się pod nosem.

Ze świadomością, że wygnał Szwedów z jego rodzinnych terenów, zmienił się w figurę kota i oczekiwał na kolejnych gości w pałacu w Janowicach.

*Herr Mannelig - średniowieczna szwedzka ballada.

CAD 15 16 - OSOBY DOROSŁE

I MIEJSCE

BARTOSZ BYCZUK

O lewinburskim Daleborze

Działo się to dawno temu w mieście Lewinburg i jego okolicach. W czasach, kiedy chrześcijaństwo mieszało się ze starymi wierzeniami słowiańskimi. W czasach, gdy nikogo nie dziwiło, że masz w piwnicy chochliki albo, że gryf porwał ci krowę. W czasach, których nikt już nie pamięta, ale przechadzając się brzegiem rzeki Łeby... kiedy człowiek dobrze się wslucha w cichutki szum wierzb... można usłyszeć, że to właśnie o nich szumią.

- Włości nasze ni dla Niemca, ni dla Gdańska! My na lewińskiej ziemi zrodzeni, zawsześmy królowi polskiemu oddanymi byli! Tak i dziś mimo nabiegu gdańskiego i gwałtu krzyżackiego, wierni mu pozostaniemy! Idźcie do chatup mości panowie, weźcie cóżkoli do boju zdadne, co większe pałki, miecze naczoscie, topory błyszczące. Nacznijmy, coby się przed teutońskim najazdem uchronić!

Po tymże orędziu Burgermajstra Lewinburskiego, dwóch mieszczan podniosło się z siedzeń i poczęło ku drzwiom zmierzać. Jednym z nich był Dalebor, z dziada pradiada krajan lewiński, drugim był gamrat jego, Gniewomir., z Litwy przybyły. W Daleborze krew gorąca wrzała i do walki ręce jego rwała, więc go Litwin ciągle musiał o pomiarkowanie prosić, coby nikomu w tym stanie krzywdy nie uczynił a i sobie utrapienia nie sprawił. Poszli jić przez gród do domu daleborowego, gdzie Dobrawa, żona ji, mieszkała. Gdy tak szli, skowyt i wrzask usłyszeli, coby niechybnie umarłego obudzić zdołał. Ulicą biegli w panice mieszczanie i chłopci.

- Co się stało mości dobrodzieju! – zapytał Dalebor, łapiąc znajomego szlachcica.

- Gdańsk na nas uderzył! Chaty palą, dobra grabią, mężów mordują, a kobiety i dzieci uprowadzają! Moją chatę spalili a do twojej drzwi wywarzyli!

- Cóż waść mówisz! - wyrzasnął Dalebor ze strachu pobladły.

- Uciekajcie jeśli wam życie miłe! – wrzasnął krajan i wyrrywając się z daleborowego uścisku, pospieszył przed siebie.

Dalebor, w którego duszy furia wzbierała, wyciągnął miecz i z nienawiścią w oczach ruszył dziarsko przed siebie.

- Stój wasz mość! Co robisz?! Toż tam cała potęga Gdańska stoi! – krzyknął za Daleborem osłupiały Litwin.

- Waść nie musisz za mną iść... - odparł gniewnie szlachcic – To bliscy moi, krew moja i odnajdę ją choćbym miał szczeznąć!

Dalebor ruszył w drogę. Gniewomir wahał się, jednak po namyśle uchwycił kuszę i podążył za Lewińczykiem.

Jeden wielki krzyk i wrzask. Tylko to docierało do uszu z okolic domu daleborowego. Kilka chat płonęło, a resztę wojowie gdańscy czyścili do cna, wynosząc z nich co cenniejsze dobra. Lewińczyk wytoczył się z za chaty niczym tumen mongolski i skierował się w stronę domu swego. Jeden z wojów wziął go za sprzymierzeńca i począł mówić, jednak nie było mu dane skończyć, ponieważ miecz Dalebora przebił go na wylot. Zaskoczeni zaciężni dobyli mieczy i rzucili się na szlachcica. Pierwemu miecz w boku utkwiał, drugiemu odrąbał rękę. Nie dojrzał jednak napastnika za swymi plecami i byłby niechybnie zginął, gdyby nie Gniewomir, który, słynący z wprawionego oka, umieścił w głowie Gdańszczanina metalowy grot ze swej kuszy najprzedniejszej, którą to jako majstersztyk wykonał w czasach, gdy jeszcze czeladniczą się parął pracą. Dalebor skinał głową w podzięcie i ruszył w przody dalej. Mocarnym ciosem, przepołowił miecz kolejnego z wojów, po czym złapał go za szyję i rzucił w drzwi domu swego, wywarzając je. Lewińczyk wkroczył do środka, nie uświadczając jednak obecności swej żony czy dziatwy. Skierował się w stronę wylazu na zapleczu. Pod domem dwóch zaciężnych pilnowało wozu z kobietami i dziećmi. Dalebor uchwycił kufel mosiężny i wypadł na zewnątrz. Cisnął naczyniem w pierwszego z Gdańszczan, przewracając go. Drugiego powaliła gniewomirowa strzała, przeszywając mu serce. Dalebor począł wypatrywać wśród kobiet i dziatwy pokrewieństwa swego, jednak marne były jego wysiłki. Dobrawy z dziatkami nie było.

- Gdzie oni są! Gdzie ich wywieźliście psubraty załgane! – ryknął Lewińczyk na Gdańszczanina, który pod czujnym okiem Gniewomira na ziemi poczywał.

- Wzięci zostali za zakładników. Złóżcie broń Boga zdrajcy i odwróćcie się od króla polskiego, a może ich odzyskacie bliskich waszych – jął mówić zaciężny, lecz daleborowa pięść spoczęła na jego szczęce.

- Dokąd! Dokąd ich wzięli! Gadaj padalcu najemny albo łeb ci urznę przy samym halsztuchu! – mówiąc to, Lewińczyk jął miecz swój do gardła woja przystawić.

- Do zamku na wyspie... No tnij psie na co czekasz! – krzyknął Gdańszczanin, a w duszy Dalebora ozwała się wola odebrania mu żywota. Byłby to zrobił gdy wtem Gniewomir, przyjaciel jego, co to od dawna mu służył głosem swym rozsądku... odezwał się głosem spokojnym...

- Wystarczy Daleborze... nie trzeba...

Dalebor odsunął miecz od gardła gdańskiego. Po czym kufel na ziemi leżący zauważając, schylił się po niego. Jął go oglądać, w rękach obracać. Przeczytał napis na nim wyryty „Besser tot als ehrlos” co na mowę miejscową przetłumaczone oznaczało nic innego jak „Lepszy martwy niż bez honoru”.

- A więc do zamku! – odrzekł Dalebor i kufel na gdańskim czerepie rozłupał.

Gdzieś w puszczy

Nadeszła noc i ciemność spowiła ziemię lewińską. Wozy z białogłowami i dziatwą toczyły się powoli przez knieje zielone, lecz... mroczne. Nikt nie zapuszczał się o porach tak późnych do lewińskiej gęstwiny, bo mimo iż czasy pogańskie dawno zażegnane zostały... jeno strach przed demonami w ludziach się ostał. Nawet zaprawieni w walkach wojowie gdańscy rozglądali się nerwowo na boki, myśląc z przestachem, czy zasłyszany przed momentem wilk nie był skowytom diabelskim a trzask, który doszedł z pobliskich zarośli, nie świadczy od obecności istot nieczystych. Dobrawa jechała wraz z dziatwą swą na czwartym od tyłu wozie. Starszy jej syn patrzył na zbrojnych spojrzeniem zimnym, lecz ciekawym, z którego nie szło domyślić się, czy wyraża złość czy raczej fascynację. Niewiasta skrywała na rękach maleństwo swoje, kołysząc je z wolna, śpiewaneczkę nucąc. Tylko ona nie doświadczała panującego wszem i wobec lęku. Czuła ona sercem swym niewinnym, niewieścim, że Bóg dobry skrzywdzić jej ni dziatwy nie pozwoli, a i męża ji, Dalebora na pomoc niechybnie pośle. Z nagłą porywacze fury zatrzymali. Na zaprzęgu przedzie rozhovor między nimi wielgi dało się usłyszeć. Dowódca, w mowie czeskiej, krzyczał na zbrojnego, gdyż nie mógł pojąć, jakże to od czasu długiego błędą po drodze co winna być prostą jak wyheblowana deska.

- Może to Bełty w głowach nam mącą i znaki zmieniają – począł mówić jeden ze zbrojnych. Dowódca zmierzył go spojrzeniem srogim i wymierzył policzek jeszcze od spojrzenia sroższy.

- Banda pogan! Wszyscyście powinni zostać wychłostani za wiarę w te gusła! Niechybnie zadbam o to gdy tylko na zamek zawitać zdołamy.

Usłyszawszy rozłam między Gdańszczanami, starszy syn Dobrawy, Rasław postanowił zbiec w te pędy. Powiadomił matkę o swym zamiarze zuchwałym, ta jednak zrugła go srodze. Gołowas nie usłuchał matki swej nakazu i skoro tylko strażnik wzrok odwrócił, zerwał się z fury i pognał w głąb kniei. Dobrawa zlekła się srodze i byłaby za synem pognąła, gdyby witeż gdański jej mieczem nie zagroził. Za chłopcem pogoń ruszyła, w dziesięciu wojów liczbie. Dobrawie ostała się jeno modlitwa.

Wyrostek gnał co prędzej przez zieloną gęstwinę, czując na plecach swych oddech pogoni. Zewsząd łowił uchem krzyki ji oprawców i żelaza szczęk piekielny. Nieuważny był w ucieczce i oglądał się zbyt często, więc i w bagno wpaść niechybnie musiał. Każdy ruch gwałtowny sprawiał, iż zapadał się coraz głębiej. Już do pasa w mule brodził, gdy go pogoń odnalazła.

- Ha! Wyrostku nieposłuszny! Po co żeś uciekać zechciał! Za ucieczkę, śmierć jest karą. Tak zarządził władarz gdański! – powiedział jeden z najemników, po czym rzekł rączo do łucznika, coby swą cięciwę napiął i sztubacki los ukrócił.

Rasław, w strachu, oczy przymknął i modlitwę począł zmawiać, co go matka wyuczyła, gdy wieczorem spać go kładła. Gdy usłyszał dźwięk tej strzały, co niechybnie miała utkwąć w głowie jego rozczochranej, ścisnął ślepią jeszcze mocniej. I tak czekał... chwilę... dwie... śmierć nie nadeszła. Tylko dźwięk ciężkiego czegoś, co na ziemię spadło, do uszu jego

doszło. Otworzył oczy. Łucznik leżał na ziemi, sztywny, strzałą przez plecy na wylot przekuty. Kompani jego z niedowierzaniem na truchło patrzyli.

- Ludzie lasu! – krzyknął jeden z Gdańszczan po czym strzałą ugodzony, obalił się na mech.

Z gęstwin poczęły wybiegać istoty okropne. Niby ludzie... lecz jednak bardziej do zwierząt podobne... Rzuciły się one na najemników czeskich. Walka wielga, zażarta między nimi trwała i mimo, że gdańscy wojowie w walce zaprawieni, sami w końcu w popłochu uciekać zaczęli. Do drogi, do wozów, byle od lasu najdalej!

- Dzicy ludzie! Ruszajcie wozy! – doszło do chłopca z oddali wołanie, po czym fury usłyszał z miejsca ruszone... Porywacze odjechali... z rodziną jego współ... a on został... w bagnie.

Ludzi lasu nie widział. Zniknęli. Cisza zapanowała w gęstwinie dokoła. Tylko trupy na ziemi leżące, o niedawnej potyczce przypominać raczyły. Chłopak nie zauważył, kiedy wokół niego zebrała się mgła. Gęsta jak mleko, skutecznie ograniczyła jego widzialność do tego stopnia, że ledwo mógł dojrzeć palce swej ręki. Postanowił wydostać się z bagna. Ruszył przed siebie, lecz wtem coś zniecacka nogę mu oplotło. Krzyknął przeraźliwie i spojrzał na bagno. Utopiec. Okropny stwór z samobójcy powstały, za nogę go w bagno próbował zaciągnąć, coby się za śmierć swą tchórzliwą zemścić. Rasław z rozpaczą próbował się bronić, lecz bestia silniejsza była o wiele i byłaby go niechybnie porwała, gdy wtem, z przerażonym twarzą przebrzydłej wyrazem, uciekła.

- Witaj Rasławie – doszło do uszu gołowasa zza pleców jego.

Rasław odwrócił i wówczas go ujrzał. Wysokiego starego mężczyznę o twarzy we brzdach i liściach na głowie.

- Borowy... opiekun kniei i pasterz leśnych zwierząt...

Okolice Wyspy Młyńskiej

- Przybyli... - powiedział Gniewomir do gamrata swego Dalebora. Od czasu jakiegoś obserwowali oni byli zamek z krzaków pobliskich, na konwój fur gdańskich oczekując. Dalebor niecierpliwił się srogo i sam by najchętniej do szturm przystąpił, gdyby go Gniewomir upilnować nie zdołał.

- Gniewomirze! Przyjacielu! Proszę powiedz, że bojować będziem zaraz, bo już zmysły mnie się męcą, gdy o żenie mej zamkniętej, w ciemnym lochu pocznę myśleć.

- Już za moment przyjacielu, rozkaz idę wojom wydać, coby na mój krzyk bitewny, z wszystkich harmat wypalili! – powiedział Litwin i skierował się w stronę żołnierzy lewińskich.

- Tam we zamku! Wasze żeny! Działwa wasza! Dziś porwana przez złoczyńców, jutro w domach się radować będzie z wami współ! Przygotujcie więc harmaty! Łuki, kusze, ostre miecze i topory z kuchni waszych! Na mój znak szturmować pocniem!

Po orędziu wygłoszonym wrócił Litwin do gamrata i na zamek począł patrzeć. Po czym rękę w górę unióś i opuścił ją gwałtownie, a wtem wszędzie dookoła huk się ozwał przeraźliwy, gdy wszech działa bić poczęły raz po razem, ogniem plując a i z gardeł wszelkich mężnych, ryk się ozwał przeraźliwy i ruszyli wszem na zamek! Po zwycięstwo! Po swe zguby!

Lochy/Zamek na Wyspie Młyńskiej

Coś huknęło, coś zawrzało i się ziemia wtem zatrzęsała. Dobrawa w ciemnym lochu siedząca, dziecię swoje w ramionach kołysząca, poczęła z niepokojem na strop spoglądać. Zewsząd hałas wciąż dochodził. Bitwy krwawej rozgrywanej, za zamkowym głównym placu. Mimo wszechobecnej wrzawy, do Dobrawy słuchu, dziwne dźwięki się dostały, co od ściany celi jej pochodzić się wydawały. Niewiasta wstała, dziecię swe trzymając i do muru iść poczęła, lecz stanęła wnet w pół drogi i z potężnym w oczach strachem wbiła wzrok w bezkształtną masę, co spod ściany się rozlała. Wtem, pomruk przeraźliwy jął wypełniać izbę całą. Bezkostą, wampira szkaradnego nadejście zwiastując. Dobrawa modlić się zaczęła do Boga dobrego, o pomoc błagając.

- Pater noster, qui es in caelis... sanctificetur nomen tuum... adveniat regnum tuum...

Na dziedzińcu

Dalebora toczył się wpród niczym taran, siekając po drodze napotkanych wrogów. Szukał on w całym tym chaosie powszechnym, drogi do lochów, do żony, do dziatwy. Gdy najemnik kolejny, mieczem jego usiekł, zwałił się na ziemię jak kłoda, ujrzał Lewińczyk napis ukazujący do karceru drogę. Był miał już po schodach do ciemnicy wyruszyć, lecz usłyszał krzyk przyjaciela swego oddanego, Gniewomira. Odwróciwszy się, ujrzał Litwina zewsząd przez najemnych otoczonego. Strzała w ramieniu jego tkwiła a z nogi mieczem przebitej, krew się sączyła, niczym sok z leśnych jagód czerwona.

- Idźże naprzód Daleborze! Mnie tu zostaw, ratuj żenę, ratuj dziatwę! – krzyknął Litwin do gamrata. Lecz Dalebor był uparty i tym razem nie usłuchał. Chwycił miecz swój znamienity i go ujął niczym sztylet po czym cisnął nim przed siebie. Ostrze utkwiał w plecach wroga, trup się zwałił na Litwina, reszta w osłupienie wpadła. Wtem Dalebor topór wyjął, na oprawców się z nim rzucił. Gdy dwóch usiekł, reszta była, ducha walki utraciła, do ucieczki się rzuciła.

- Coś żeś zrobił, toć mówiłem. Ratuj dziatwę, żenę swoją. Po co żeś tu po mnie wrócił! – powiedział Gniewomir głosem osłabłym.

- Ty żeś mi zawsze życie ratował, a i pomocą nigdy nie skąpił. Więc oto mówię ci teraz w tym miejscu, że choćbym miał przenieść się do Boskiej chwały, ciebie przyjacielu nigdy nie zostawię! A teraz przysiądź tu proszę, zaczekaj. Idę rodzinę swą uratować! – to powiedziałwszy, ruszył Dalebor do lochów zamkowych.

W lochu

- ...et ne nos inducas in tentationem... sed libera nos a malo. Amen – rzekła Dobrawa i już na śmierć czekać poczęła, rękami maleństwo swe zaślaniając. Nagle hałas ogromny się rozległ.

Drzwi się rozwarły, ktoś wpadł do izby. Karcer wypełnił ryk przeraźliwy i oto Dobrawie, gdy oczy otwarła, ukazał się wampir w płomieniach spowity. Palił się, topił wyjąć przebrzydłe, aż się w popiołu kupę zamienił. Wtenczas ujrzała Dobrawa ji zbawcę, Dalebora jej męża, dzierzążącego pochodnię. Jakież szczęście dla nich to było, którego słowami opisać się nie da. Jenó frasunek ich niemały nawiedził, kiedy o synu Rasławie wspomnieli. Przyrzekł Dalebor żonie swej kochanej, że Rasława znajdzie, nie bacząc na wszystko. Wyszli więc z lochów na zamku dziedziniec. Zdziwienie ich dopadło i niedowierzanie, bo oto Gniewomir w boju zraniony, na Rasława ramieniu był się opierał. Dalebor z Dobrawą podbiegli do syna. Poczeli go ścisnąć i o zdrowie pytać. Chyżo im powiedział, gołowąs zuchwał, o swej ucieczce, pogoni i bagnie... oraz o Leszym... Borowym też zwanym... prastarym puszczyńskim obrońcą knei... co go od zguby ocalił i z lasu wyprowadził przy zamku samym... po czym zniknął tak samo szybko jak się pojawił...

Tak oto kończy się ta legenda o ziemi lęborskiej i jej mieszkańcach dla których miłość i przyjaźń stanowiły wartości nadrzędne. Legenda o Błękitnej Krainie, tak magicznej i pięknej, z bogatą historią... skrywającą wiele tajemnic.

A Ty czytelniku pamiętaj... jeżeli kiedykolwiek zgubisz się w lesie... rozglądaj się uważnie... może spotkasz Borowego, który wskaże ci drogę do domu.